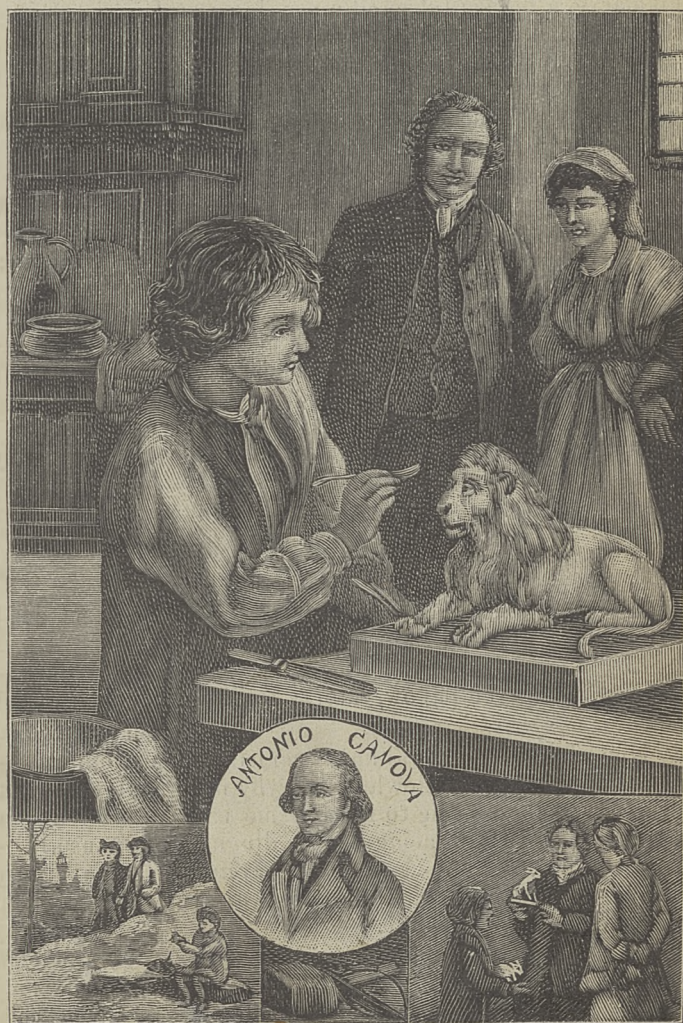


WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ANTONIO CANOVA.

Biednym chłopciem był mały Antonio Canova urodzony 1757 r. w Possagno, później jeden z najsławniejszych rzeźbiarzy włoskich. Ojciec odumarł go wcześniej i wychowaniem sieroty zajął się dziadek, który zarabiając na życie ciosaniem kamieni, sposobił wnuka do tego rzemiosła. Pilny, roztropny chłopiec wszystkie wolne chwile poświęcał nauce rysunku i modelowaniu posążków z gliny, a przy wrodzonych zdolnościach takiej wkrótce nabrali wprawy, że gdy jednego razu lew z marmuru, rzadki okaz sztuki, mający w czasie uczty zdobić stół pałacowy właściciela Possagno, uległ przypadkiem rozbiciu i przywołano dziadka Antonia, by zaradził złemu, chłopiec prosił, aby mu wolno było ulepić lwa z gliny, a gdy uznano, że posążka z tak pospolitego materiału na stole pańskim stawiać nie można, Antonio ulepił lwa z masła, który wzbudził podziw ogólny, tak był wierną kopią uszkodzonego okazu. Gdy miał lat ośm, młodemu Canovie powierzano już roboty, którym nie jeden wytrawny artysta podołałby nie zdołał. Zręczność i pracowitość chłopca zwróciła na niego uwagę senatora weneckiego, Jana Faliero, który dwunastoletniego wyrostka wziął pod opiekę i oddał go na naukę do snycerza Toretta a następnie umieścił w akademii w Wenecji; tam Antonio stał się wkrótce celującym uczniem i pierwsze otrzymywał nagrody. Dnie poświęcał pracy nad sztuką, wieczory kształceniu umysłu. Małeńka celka starczyła mu za mieszkanie, głód zaspakajał najprostszymi potrawami; nie nęciły go rozrywki i zabawy pociągające innych młodych ludzi, w zajęciach zawodu swego znajdował źródło największej rozkoszy, co rano wyznaczał sobie pracę, którą w ciągu dnia wykonywał, a nie mając środków nabycia modeli potrzebnych do nauki rzeźby, stawiał przed zwierciadłem i sam sobie służył za model. Mając lat 23 przeniósł się do Rzymu, gdzie wzory znakomitych mistrzów w malarstwie i snycerstwie oraz obcowanie z ludźmi uczonymi, przyczyniło się do szybkiego rozwinięcia jego talentu. Do najpiękniejszych utworów Canovy zaliczają: Posąg Perseusza, znajdujący się w Watykanie, wspaniałe popiersie Napoleona I-go, zachwycającą Hebe, unoszącą się na obłoku



i nalewającą nektar do czary i nagrobek księżny Cieszyńskiej Krystyny, który w r. 1805 artysta sam ustawiał w kościele Augustyanów w Wiedniu. Papież Pius VII wpisał uroczyste imię wielkiego artysty do złotej księgi na Kapitolu i wyniósł go na dostojność margrabiego Ischia. Doszedłszy własną zasługą do szczytu sławy, Canova ostatnie prace i znaczny swój majątek poświęcił na zbudowanie wspaniałego kościoła w rodzinnej wiosce Possagno, która szczyli się z posiadania roboty jego: „Zdjęcie z krzyża.” W tem też

kościół złożono zwłoki artysty po jego śmierci, która nastąpiła r. 1822 w Wenecji, gdzie w jednym z kościołów wzniesiono mu pomnik marmurowy z dobrowolnych ofiar Europejczyków i Amerykanów. Najtrwalszym jednak pomnikiem są arcydzieła dłuta artysty, które przysporzyły mu nieśmiertelnej chwały.

W STAROŻYTNYM RZYMIE.

(Dalszy ciąg).

Uczętę kończyło zawsze jakieś przedstawienie: to sprowadzano tancerki lub śpiewaczki, to gladyatorów, którzy z sobą walczyli, to znów mimików i deklamatorów. Ten ostatni powtarzał jakąś pieśń z Iliady, poematu, w którym największy z greckich wieszczów, Homer, opisał wojnę trojańską, lub też z Eneidy, poematu rzymskiego poety Wiergilusza. Eneida opisuje dzieje trojańczyka Eneasza, od którego mieli pochodzić najznakomitsi patrycyusze rzymscy. Mimicy odtwarzali gestami deklamację, a fleciści także od czasu do czasu muzyką podnosili wrażenie.

Widzimy ztąd, że Rzymianie nie dbali jedynie o dobre jedzenie, lecz także o rozrywkę i zadowolenie umysłowe przy ucztach. Gościnnie gospodarz zapraszał zawsze jednego lub więcej poetów, filozofów, dla zaprawienia rozmowy mądrym zdaniem, głęboką myślą lub dźwięcznym rymem. Do uczt należał też zwykły pasorzyt, czyli gość, obowiązany rozśmieszać współbiedniaków dowcipami uwagami i żartami. Pasorzytem bywał człowiek bez majątku, pojętny, nieraz bystry, lecz leniwy, a przez to unikający każdej pracy.

Służąc patrycyuszom do zabawy gości, zdobywał lekko chleb codzienny, lecz, że nikt takich pasorzytów nie mógł szanować, więc często poniżano ich, upokarzano, sztygając z ich podrzędnego stanowiska, z pochlebstw, któremi starali się wkupić w łaski bogatych patrycyuszów, od których zależeli. Niestety! pasorzytów takich podobnie jak w starożytnym i w dzisiejszym świecie napotkać się zdarza!

Niewolnicy.

Wszyscy mieszkańcy Rzymu podzieleni byli na dwie grupy. Ludzi wolnych i niewolników.

Los niewolników był bardzo ciężki, bo wszak całkowicie zależeli od swych panów, którzy mogli ich nawet zabijać bezkarnie.

Niewolnikiem zostawał każdy jeniec wojenny, oprócz tego popadał w niewolę człowiek, któryby nie chciał w wojsku służyć, (lecz zdarzało się to niezmiernie rzadko) lub też jeśli ktoś nie mógł wypłacić zaciągniętego długu, wtedy musiał zostać czasowo niewolnikiem swego wierzyciela. Takie prawo istniało w początkach założenia państwa rzymskiego, później jednak, zniesiono je zupełnie.

Po każdej zwycięskiej wojnie przybywało Rzymianom niewolników; pewna ich część wprawdzie przechodziła do stanu wolnego, bądź to za pomocą wykupu, bądź też w skutek łaski samego pana. Uwolnionych niewolników zwano wyzwolencami. Wyzwoleniec mógł wprawdzie rozporządzać swoim czasem, swoją osobą, nikt nie miał prawa bić go, męczyć lub zabić, lecz poza tem istniały pewne różnice między obywatelami wolnymi z urodzenia, a takim wyzwolencem. Nie dopuszczano go do wielu urzędów, choćby je mógł dobrze sprawować, a żaden patrycyusz nie wydałby za niego swojej córki. Jeżeli Rzymian zapagnął wyzwolić swego niewolnika wówczas dość mu było uderzyć go w twarz wobec świadka, naturalnie wolnego obywatela, gdyż nikt nie zważał na świadczenie niewolników. Ludźmi byli, a jednak traktowano

ich jak rzeczy, które można było sprzedać, darować, wymienić, testamentem zapisać.

Ludzie wolni dzielili się znów początkowo na obywateli (cives), z rodzin czysto rzymskiego pochodzenia i na zwykłych wolnych ludzi, z obcych stron przybyłych, ci znów nosili nazwę peregrini; w późniejszych czasach wytworzyły się z nich w starożytnym Rzymie dwie grupy ludzi; jedna, mała liczbą, lecz potężna władzą to patrycyusze. Druga to plebs, czyli biedna i pracująca klasa ludzi. Patrycyusze jedynie mogli należeć do senatu, czyli zgromadzenia rządzącego Rzymem. Wprawdzie plebs, przeważny liczbą, później mógł także decydować w ważnych sprawach i żądać na przykład wydania wojny lub zmiany jakiego uciążliwego prawa. Za czasów Augusta znów, on sam rządził senatem; wydawał jakieś rozporządzenie a senat ogłaszał je na posiedzeniu i wydawał rozkaz, aby zostało spełnione. Nietylko cesarz August lecz i jego poprzednicy i następcy tak senatem zarządzili.

Wolni ludzie zatem ulegać musieli woli Augusta, a obywatele znów słuchały całe zastępy niewolników, kupowanych na wielkim placu *Forum romanum* przed świątynią Dioskurów. Dla Rzymianina niewolnik przestawał być równym mu człowiekiem, „Wszak na ziemi,” mawiał, „żyją zarówno potężne lwy jak i słabe zające, otóż lwem jest człowiek wolny, zającem — niewolnik przeznaczony jedynie do służenia i ulegania woli ludzkiej”. Obywatel rzymski nietylko z pracy niewolników ciągnął zyski; handlując nimi zbierał jeszcze nieraz pieniądze. Kupował bowiem dzieci niewolników, naturalnie bardzo, tanio a sprzedawał je po paru latach z ogromnym zyskiem. Rzymianie lubili też niezmiernie patrzeć na walki niewolników; ci na rozkaz pana, walczyli bądź to orężem, bądź to na pięście mocowali się z sobą. Do takich zabaw czyli *igrzysk* wybierano bardzo silnych ludzi, zwano ich zaś *gladyatorami*. Takie igrzyska odbywały się w wielkich cyrkach; w pośrodku rozciągała się kolistą areną, a w około wznosiły się również kolisty, kamienne stopnie, na których siadali widzowie. Okrutne były to zabawy, szczególnie wtedy, gdy kazano gladyatorom walczyć z dzikimi zwierzętami: z lwem, tygrysem i t. p. Zwycięzkiego gladyatora tłum witał z entuzjazmem, lecz nikt nie żałował poległych.

Przyznać też trzeba, że miejsce przeznaczone do handlu niewolnikami wcale nie nadawało się do tego użytku. Dioskurowie bowiem, Kastor i Poluks, synowie bogini Ledy, byli bogami żeglugi i gościnności; dla sprzedaży i kupna niewolników stosowniejszą więc byłaby świątynia Merkurego, bożka handlu i złodziei.

Rzymianie jednak słusznie mogli wystawić świątynię bożkom gościnności, gdyż tę cnotę posiadali w wysokim stopniu. Gdy gość zawitał do domu rzymskiego obywatela, był w nim pierwszą osobą a krzywdą gościa, hańbą, dla całego domu. W pojęciu Rzymian, ktokolwiek mieszkał poza murami grodu Romulusa zwał się już cudzoziemcem, chociaż był Latynczykiem, ludzie zaś innej narodowości nazywano ryczałtowo barbarzyńcami. Otóż jeśli cudzoziemiec zapoznał się gdziekolwiek z Rzymianinem, wtedy dwaj świeżo zaznajomieni pisali na kościanej tabliczce swoje imiona, przełamywali ją i każdy chował starannie swoją połowę. Po tych tabliczkach poznawali się po kilkudziesięciu nawet latach niewidzenia, a każdy miał zupełnie prawo korzystać z gościnności, z pomocy drugiego, choćby nawet znajdowali się w dwóch przeciwnych, walczących z sobą obozach. Przjmowano też gościnnie posłów narodu, z którym Rzym toczył wojnę. Gościnność jednak dotyczyła tylko ludzi, a jak wspomnieliśmy wyżej niewolnik do ich rzędu nie należał. Było to zwierzę domowe okrutnie karane za każde przewinienie. Przypiekano im ciało gorącym żelazem, krzyżowano ich, wreszcie związywanych rzucano do wody, na pożarcie rybom. A jednak na tem samem Forum, przy którym stała świątynia Dioskurów, gromadził się lud na narady, podczas których domagano się sprawiedliwości, obrony przed wyzyskiem możliwych. Łatwiej bowiem odczuć krzywdę doznane, aniżeli przez nas samych komuś wyrządzone.

(d. n.)

Pomnik hr. A. Fredry.

Aleksander Fredro słusznie nazwany został ojcem komedypisarzy naszych, gdyż dzieła jego stoją na wysokości niedoścignionej przez jego poprzedników. Odnacza je łatwość i podniosłość wiersza, piękny język, niepospolity dowcip i treść osnuta na swojskich tematach. Fredro urodził się w Galicyi (w 1803 r.) był potomkiem starożytnej rodziny, znanej z posług publicznych, zdawna tam osiadłej. Lwów przeto uczcił go pomnikiem, przedstawionym na rycinie naszej. Pomnik ten odsłonięty został w końcu października r. b. wobec tłumów zgromadzonych, aby okazać cześć dla narodowego pisarza, grona inteligencji miejscowej, władz krajowych i dostojników Kościoła.

Maryja Łopuszańska.

W WIEJSKIEJ ZAGRODZIE.

(Dalszy ciąg).

Halczyński zły i upokorzony musiał jednak spełnić wolę Andrzeja i wkrótce pastwisko przestało być polem walki. Andrzej kazał swoim ludziom pozostać na straży, słusznie obawiając się nowej napaści ze strony sąsiada, który z wściekłością w duszy odjechał ku swoim posiadłościom, poprzysięgając, że się zemści na owym zuchwałym chłystku, jak nazywał przeciwnika.

Andrzej również odjechał wraz z panem Żukiem, który zacierał ręce, mówiąc:

— Myśmy ich gracko poturbowali!

— Dla mnie wszystko to nie jest wcale wesołem — rzekł Andrzej — brzydzę się podobnemi zatargami o kawałek łąki czy pastwisko...

— A jednak i ty poturbowałeś Halczyńskiego...

— Bo zaczął szarpać pamięć mego ojca, a tego nikomu nie przebaczę. Gdyby nie to, nigdybym nie wyzywał na rękę człowieka tak niedołęznego...

— Jeszcze ten niedołęga da ci się we znaki, ja ci to przepowiadam, Jędrusiu — rzekł pan Żuk.

— A niech go tam! — rzekł Andrzej, machnąwszy ręką. — Już mi to wszystko tak zbrzydło, że słuchać o tem nie mogę! Wolałbym sto razy mieć do czynienia ze Szpakiem albo Szulakiem, z którymkolwiek wreszcie atamanem zbójcekim, a nie z tym sądowym wywłoką...

— At, nie wywoływałbyś wilka z lasu — rzekł pan Żuk.

— Właśnie niedawno słyszałem, że watacha Szpaka grasuje o kilka mil stąd. Nawet chciałem ci powiedzieć, że możeby należało na noc podwajać straż, bo ostróznego Pan Bóg strzeże.

I zaczęli oba radzić nad tem, jakby lepiej dwór opatrzyć przed napacją.

W kilka dni potem Andrzej wyszedł na podwórze wieczorem, by obejrzeć czy straż są rozstawione jak należy, kiedy ujrzał wielką łunę na niebie w stronie zachodu. Począł jej się przyglądać z niepokojem, bo podobne łuny nigdy nie zwastowały nic dobrego, kiedy jeden ze strażników ozwał się:

— To tak jakby się paliło w Kozłówce u pana Halczyńskiego.

— Wiesz Jędrusiu, że to niedobry znak owa łuna — rzekł p. Żuk nadchodząc. — Szpak musi tam gospodarować ze swoimi, trzeba więc i nam przygotować się na jego przyjeście.

— Nie inaczej, należy zaraz uzbroić ludzi by byli gotowi na wszelki wypadek — odrzekł Andrzej półgłosem.

— Chłopcy — zawołał pan Żuk na czeladź — zatarasować dobrze bramę i opatrzyć armaty, bo kiedy oni tam gospodarzą, to mogą zajrzeć i do nas.

Nagle na gościńcu oblanym księżycowym światłem, które mieszało się z blaskami łuny, płonącej na niebie, ukazał się człowiek na spienionym koniu i pędził prosto do dworu.

— Radbym wiedzieć co to za jeden — mruknął pan Żuk. — Byle tylko nie z bandy Szpaka.

Jeździec podjechałszy pod bramę zatrzymał konia i czekał by go wpuszczono.

Andrzej sam zbliżył się do bramy, pytając.

— Coś ty za jeden i czego chcesz?

— Jam pacholek pana Halczyńskiego.

— Cóż to, może twój pan chce mię wyzwać na rękę, i ciebie w poselstwie przysyła?

— Oj, panie, u nas bieda wielka — odrzekł pacholek głosem zdyszany. — Pana niema w domu, została tylko pani z panienką i paniczem; tymczasem na dwór napadła kupa hultajstwa... Zatarasowaliśmy bramy i bronimy się jak możemy, ale czy wytrzymamy długo, tego nie wiem, bo dwór niema dobrego opatrzenia. Hultaje owi podpalili zabudowania dworskie; aż stąd widać łunę; kiedyśmy zobaczyli, że nie mamy rady, wymknąłem się jakoś przez ogrody, dopadłem konia i tu przypadłem, by was panie błagać o pomoc, bo inaczej zbójce nas wymordują...

Andrzej wysłuchawszy tego, zamyślił się głęboko. Zapytywał siebie czy powinien zostawić bez dostatecznej obrony matkę i siostry, aby iść na pomoc największemu nieprzyjacielowi swemu; z drugiej zaś strony czy mógł odmówić ratunku ludziom ginącym, chociażby to była rodzina nieprzyjaciela? Stał więc ze spuszczoną głową, namyślając się co ma uczynić, gdy nadbiegła Anka, która już się skądś dowiedziała, że na dwór pana Halczyńskiego napadli zbójce.

— Co tak stoisz, Jędrusiu? — zapytała, kładąc mu rękę na ramieniu.

Wówczas Andrzej opowiedział jej z czem przybył pacholek i zwierzył się z kłopotu w jakim się znajdował obecnie.

— Mnie się zdaje, że to łatwo pogodzić — rzekła Anka. — Idź ty im na pomoc, a my tu zostaniemy pod opieką pana Żuka i części naszych ludzi...

— A jeżeli hultaje tymczasem na was napadną?

— To się obronimy, albo to nie mamy armat? — odrzekła Anka z butną miną. — zresztą bądź spokojny, nie napadną na nas, bo są tam zajęci. Idź więc pani Halczyńskiej na pomoc, nie zwlekając, bo oni pewnie są w wielkim strachu. Co za szkoda, że nie jestem chłopcem, pojechałabym z tobą!

Andrzej więc zebrał dwudziestu ludzi dobrze uzbrojonych i kazawszy im wsiąść na konie, sam stanął na ich czele, polecając panu Żukowi opiekę nad dworem.

— A wracaj prędko! — zawołała mu Anka na pożegnanie. — Ja już tutaj mamę uspokoję i opowiem wszystko.

Na niebie wciąż jeszcze gorzała łuna, rzucając czerwone blaski na gościńiec i na pola okoliczne.

V.

We dworze w Kozłówce panowała wielka trwoga; uzbrojona czeladź, zatarasowawszy drzwi i okna, odpierała, jak mogła, nacierających zewsząd zbójców, pochodzących z oddziału Szpaka, słynnego wówczas dowódcy watachy zbójckiej, trudniącego się przedewszystkiem chwytem jęńców i odstawianiem ich Tatarom.

Dowiedziawszy się, że pan Halczyński wyjechał do Mohyłowa i że dwór nie jest dobrze opatrzonej na ich przyjeście, spora ich kupa zrobiła wyprawę na Kozłówkę i podpaliwszy najpierw zabudowania dworskie, dla wzniecenia większego postrachu, obiegła następnie dwór.

W narożnej komnacie, przed obrazem Matki Boskiej klęczała pani Halczyńska, modląc się gorąco, przy niej znajdowała się jej córka, szesnastoletnia Basia, niemniej zatrzwożona, jak matka. Przy drzwiach tuliło się kilka dziewcząt służebnych, płacząc i zawodząc półgłosem. Komnata była oświetlona czerwonymi blaskami łuny.

— Boże mój, Boże — jęczała jedna z dziewcząt — może oni nas Tatarom sprzedadzą. Oj dolo, dolo nasza nie-szczęśliwa!

Nagle do komnaty wpadł chłopak piętnastoletni: był to Janek, brat Basi.

— Mamo, Basiu — zawołał — pomoc nam przybyła!

— Skąd? kto? — zawołała pani Halczyńska, zrywając się z klęczek.

— Pomoc z Hordijowiec, od pana Andrzeja Żarneckiego!



Pomnik hr. A. Fredry.

Czy być może! — zawołała pani Halczyńska. — Wszak niedawno ojciec miał z nim zatarg i został przezeń wyzwany na rękę...

— Mamo, więc to ten sam, na którego ojciec tak się gniewał? — pytała Basia matkę.

— Ten sam, ten sam — odparła matka. — Czy ja się mogłam spodziewać, że on przyjdzie nam na ratunek w nie-szczęściu!

Tymczasem z zewnątrz dochodziły odgłosy wystrzałów oraz krzyki napadających, którzy wciąż jeszcze darli się do drzwi i okien.

Ale powoli krzyki te zaczęły się oddalać i cichnąć: widocznie rozbójnicy odstępowali. Czeladź, widząc to, wypadła ze dworu i rzuciła się na nich; jeszcze czas jakiś słychać było hałas i zamieszanie walki, potem wszystko umilkło.

— Janku — mówiła Basia do brata — ty powinienes zastąpić ojca i podziękować naszemu obrońcy za pomoc...

— O, ja go poproszę, by zsiadł z konia i spoczął u nas — odrzekł Janek — wszak z pewnością jest strudzony. Biegnę zaraz i dam rozkaz, by przygotowano miejsce dla ludzi i koni...

— Nie wiem, moje dzieci, czy on się zgodzi na to, by wstąpić w nasze progi — ozwała się pani Halczyńska z westchnieniem. Między nim a waszym ojcem od tak dawna trwały niesnaski...

— A dla czego, mateńko, ojciec tak nie lubił pana łowczego Żarneckiego? — zapytał Janek.

— Nie wiem dobrze, moje dziecko, o co im poszło z początku — odrzekła matka smutnie, bo nie chciała przed dziećmi odkrywać niesprawiedliwych postępów ojca.

— O mateńko! jaka to przykra rzecz przyjmować pomoc od kogoś, co ma żal do nas — wyszeptwała Basia, która już rozumiała niektóre rzeczy.

— Przedewszystkiem powinniśmy starać się jak najprędzej usunąć przyczyny tego żalu — odrzekła matka, podczas gdy Janek wybiegł z komnaty, by się zająć przygotowaniami na przyjęcie obrońców.

— Mam przeczucie, że on nie zechce wejść w nasze progi — rzekła Basia po chwili.

— Być może, moje dziecko — odrzekła matka.

Janek długo nie wracał. Tymczasem we dworze powoli zaczęło się uspokajać, czeladź powracała z pościgu i zajęła się gaszeniem budynków; do okien zaglądał już niebieskawy świt...

Wreszcie Janek zjawił się z powrotem; Basia, spojrzawszy na niego, zawołała:

— A co, czy nie mówiłam!

— Widziałem się z panem Andrzejem i prosiłem go usilnie, żeby zajechał do nas, ale za nic nie chciał — mówił Janek smutnie. — A szkoda wielka, bo mi się okrutnie spodobał i chciałbym bardzo poznać go bliżej. Już ja się koniecznie muszę postarać, żeby ojciec zawarł z nim zgodę...

Na te słowa pełne zaufania matka uśmiechnęła się smutnie. Janek był ulubieńcem ojca, który się nim pysznił, jako jedynym synem i spełniał zwykle wszelkie jego prośby.

— Daj Boże, mój synu, żeby się twe zamiary powiodły — rzekła pani Halczyńska, która знаła zawziętość i upór męża.

— Obaczycie, mateńko, że mi się powiodą — odrzekł chłopak, potrząsając płową czupryną.

Basia podeszła do brata i pocałowała go w milczeniu.

— Powiem ojcu — ciągnął dalej Janek — że gdyby nie pan Andrzej, to byśmy teraz może byli w ręku Szpaka, któryby nas popędził do Krymu i sprzedał Tatarom...

Na te słowa panią Halczyńską przeszedł dreszcz mimowolny.

— Dzieci — zawołała — klękniście; dziękujemy wszyscy Bogu za zesłany niespodzianie ratunek i poprośmy Go, aby nas wspierał w naszych zamiarach.

Basia, klęcząc obok matki, wzniosła w górę piękne, niebieskie oczy, a z duszy jej popłynęła gorąca modlitwa.

Andrzej przybył w sam czas na ratunek; jeszcze chwila, a czeladź dworska nie byłaby mogła odeprzeć napaści nacierających gwałtownie zbójów.

Dojeżdżając do Kozłówki, ujrzał dwór oświetlony zewsząd łuną palących się budynków; wyglądał on zupełnie jak wyspa na wzburzonym morzu; zewsząd otaczały go kupy rozbójników, pchających się do drzwi i do okien, z których rozlegały się od czasu do czasu, wystrzały.

Napastnicy nie spodziewali się wcale pomocy, przybywającej obłożonym, więc też Andrzej, kazawszy swoim ludziom wypuścić konie galopem, wpadł im znienacka na karki i odrazu sprawił zamieszanie w ich gromadzie. Zbóję, ujrawszy szablę, wzniesioną nad ich głowami, poczęli się cofać bezładnie i wkrótce, pomimo nawoływań ich watażki, poszli w rozsypkę.

Andrzej puścił się za nimi w pogoń, poparty jeszcze przez czeladź dworską, która, wypadłszy, ścigała ich również aż na polach, dopóki nie skryli się w gęstwinie leśnej. Powracając z tego pościgu, spotkał się z Jankiem; chłopak, ujrawszy go, poskoczył ku niemu i zaczął gorąco zapraszać, by wstąpił do dworu, a gdy Andrzej odmówił, zasmucił się tak, że aż łzy mu stanęły w oczach.



Pastuszka.

— Mój Boże, ja widzę dobrze, że waszmość na nas się gniewasz! — zawołał z dziecinnym żalem. — A jabym tak chciał być waćpana przyjaciелеm!

Andrzej był ujęty mimowoli zarówno temi słowami, jak i miłą powierzchownością chłopca, którego niebieskie oczy miały wyraz szczerości i dobroci, chwytającej odrazu za serce. Odpowiedział mu też, że i on także pragnąłby, żeby oni obaj zostali kiedyś przyjaciółmi i prosił Janka, aby go odwiedził czasem. Poczem uściśnawszy sobie ręce, rozjechali się.

(d. c. n.)

PASTUSZKA.

A gdzieś ty się moje słonko
Podziało,
Czy tą mgiełką owinęłoś
Się białą?
Co to chodzi jakby oblok
Po ziemi,
Nad polami, nad lasami
Sinemi.
I śpisz sobie za chmureczką
Gdzieś w niebie,
A na ziemi, słonko, smutno
Bez ciebie.
Wiater zimny zżółkłe liście
Obrywa,
Deszczyk ziemię niby łzami
Obmywa,
A jak wyjdę za krówkami
Na rżyska,
To jak perły chłodna rosa
Tam błyska.
I tak zimno w srebrne ranki
Na dworze,
Bo nie grzeją ziemi łuną
Już zorze.
Odzieję się w swoją siwą
Sukmanę,
Od matusi kawał chleba
Dostanę,
To już sobie do południa
Tak stoję,
Ni się chłodu, ani głodu
Nie boję.
Patrzę jeno, hen, po całym
Tyu świecie,
Myślę sobie, miły Boże,
O lecie;
Żal mi dzwonek, co powiędły
Liliowych,
Hen, rozsianych po tych miejscach
Zbożowych,
Żal bocianów, co uciekły
Z nad chaty,
W kraj cieplejszy złotem słonka
Bogaty.
Ale jabym nie pobiegła
Za niemi
Żeby uciec przed śniegami
Białemi.
Ktoby tutaj pasał krówki
Dnie całe,
A przez zimę, ktoby przął tu
Lny białe?
A wieczorem różnych baśni
Kto słuchał?

Na kominie jasny ogień

Rozdmuchał?

Ej, chociażby słonko nigdy

Nie wstało,

Choćby śniegu nie wiem ile

Nawiało,

A mnie, choćby mieć skrzydełka

Ptaszyny,

Nie rzuciłabym tej wioski

Jedynej.

M. S.

KRÓLOWA BALTYKU.

(Dokończenie).

Smutno było odtąd w chacie. Rybak jeździł codzień na połów, ale nikt nie witał go na brzegu śmiechem i śpiewem. Rybaczka zbierała muszle na piasku, ale nie było komu pomódz jej w pracy, siadali wieczorami nad brzegiem morza i myśleli o córce.

Tymczasem Kasia mieszkała w kryształowym pałacu podwodnym, spała na bieluchnej pierzynie z piany morskiej, przechadzała się po wspianiałych pokojach. Koło jej okien przepływały różne zwierzęta morskie, a dziewice morskie usługiwały jej i bawiły ją, znosząc jej wszystkie skarby morza; ale Kasię nic nie zajmowało, tęskniła za ojcem, za matką, za ubogą chatą...

Królowa Baltyku codzień przychodziła do niej, brała ją na kolana, pieszcząc, gładząc jej włosy i mówiła serdecznie:

— Nie wracaj już na świat, zostań u mnie, będziesz razem ze mną władała morzem i wszystkimi jego skarbami. Dam twym rodzicom wielkie bogactwa, ale zostań u mnie. Rok mogę cię zatrzymać, po roku zaś nie mam prawa więzić cię wbrew twojej woli, ale proszę, zostań ze mną.

Ale Kasia wstrząsała główką: powtarzając:

— Nie zostanę u ciebie, nie chcę twych skarbów, pragnę widzieć niebo błękitne, złote słonko, zielone łąki a na nich kwiaty, a przede wszystkim chcę wrócić do moich kochanych rodziców.

Królowa Baltyku umyśliła więc podstępem dziecko zatrzymać i strzegła go pilnie, gdy naznaczony czas się zbliżał.

Nadeszła wreszcie rocznica porwania Kasi, zerwała się na morzu taka burza, jak przed rokiem, ale groźnej władczyni nie było widać, strzegła ona Kasi. Zniosła jej mnóstwo najpiękniejszych bursztynów, rozkazała zwierzętom morskim aby ją bawiły, ale Kasia płakała ciągle. Nareszcie burza przycichła trochę, rozwarły się podwoje pałacu kryształowego i wszedł siwobrody starzec. Królowa zbladła, zachwiała się, schwyciła Kasię w objęcia i zawołała błagalnie:

— Nie bierz jej, ojczule! nie bierz!

Ale starzec smutnie potrząsnął głową i rzekł:

— Nad stratą własnego dziecka boleć możesz, ale do ludzkich nie masz prawa. Tylko gdyby to dziecko dobrowolnie zostało, mogłabyś wychować je jak własne.

Z temi słowami zbliżył się do Kasi, włożył jej sznur bursztynów na szyję, bursztynami otoczył ręce, pogładziwszy po głowie, wyrzekł:

— Wróć do rodziny, te bursztyny będą waszem bogactwem. Oddalcie się od morza, aby córka moja nie dosięgnęła was; gdyby raz jeszcze dostała cię w swoje ręce, jużbyś się żywa stąd nie wydostała. Potem zawołał szybko pletwego zelinta *) posadził Kasię na jego grzbiecie i rozkazał mu zanieść ją do zatoki.

*) Zelintami zowią na wybrzeżu Baltyku „psy morskie” rodzaj fok.

Tegoż dnia wypłynął rybak na morze, a gdy się oddalił od brzegu, ujrzał dziwne zjawisko. Na grzbiecie zelinta płyneło dziewczę podobne zupełnie do jego Kasi:

— Tatku, tatko, wasza Kasia wraca, wołało...

Podpłynął do łódki, rybak drżąc z radości zabrał córkę i popłynął z nią dalej.

Wielka była radość w domu gdy Kasia opowiedziała wszystko rodzicom, przeprowadzili się do odległego miasta, gdzie się nie potrzebowali obawiać groźnej pani morza. Mieszkańcy jednak nadbrzeżni, gdy dziecko utonie mówią dotąd, że królowa morza je zabrała, żeby ludziom krzywdę wyrządzić.

SFINKS LODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg)

— Pan tak z dobroci swojej chce mię tłumaczyć, ale rodzina Parkera nie mówiłaby tak pewnie...

— A miał on rodzinę?

— Miał panie, i dla tego właśnie Prym przezwiał go inaczej, bo prawdziwie zwał się on... ale zachowaj pan to w tajemnicy!...

— Nie Petersie, po co mi o tem wiedzieć! — rzekłem żywo, lecz równocześnie usłyszałem słowa:

— Może mi ulży, gdy panu powiem, że się nazywał Holt... Net Holt.

— To może krewny naszego Marcina Holta! — zawołałem mimowoli.

— Rodzony brat jego, chciej mię pan zrozumieć...

— Ale Marcin Holt jest przekonany, że brat jego zginął w falach oceanu wraz z tonącym Grampiusiem.

— A gdyby teraz wiedział, że ja...

W tej chwili gwałtowne wstrząśnienie statku wyrzuciło mnie z łóżka, i gdy zaraz potem wybiegłem na pokład, uszów moich doleciały gniewne słowa porucznika:

— Tak do galganie siedzisz przy sterze? Tak pilnujesz swego obowiązku!...

I Jem West silną dłoń wstrząsnął za kołnierz Hearn'a.

— Poruczniku... ja sam nie wiem... — próbował się bronić tenże.

— Ale ja wiem, niegodziwce, że dla tej czy innej przyczyny opuściłeś ster, że tem samem naraziłeś żaglowiec na zgubę. Marz więc na dół do piwnic, gdzie w ciemności możesz rozmyśleć nad tem, jakim powinien być dobry marynarz na statku!

— Ziem! — zabrzniał głos straży z bocianiego gniazda, i wszyscy znaleźliśmy się w ognieniu oka na przodzie Halbranu, z wartkiem zatopionym w południową stronę morza.

Z i e m i a ?

W dali przed nami zamajaczyły niewyraźnie ciemniejsze faliste linie. A więc nareszcie ziemia, ta upragniona ziemia, rozkładająca się tam niezawodnie!

Czy będzie to ląd stały, czy też wyspa, czy nie spotka nas tam powrotny żagłód, czy stęsknione serca braci Wilma i Len Guy odżyją w serdecznym uścisku, czy tu będzie kres naszej wyprawy, z której niebawem wracać będziemy wszyscy, przepelnieni szczęściem? A może i Artur Prym

jest tam również, może los nie poskapi Petersowi w nagrodę jego przywiązania tej najwyższej radości, może i on serdecznym uściskiem obejmie tam swego przyjaciela, swego ukochałego towarzysza wspólnej niedoli!...

W jednej chwili nowe życie, nowy ruch zapanował na statku; ja sam zapomniawszy zupełnie o uczynionem mi co dopiero zeznaniu Petersa, poddałem się bezwzględnie wrażeniom chwili i śledziłem z zajęciem mglisto rysujące się kontury oczekiwanego lądu, nie zwracając uwagi na metysa, zapatrzonego obok mnie nieruchomo w tenże daleki punkt.

Jeden tylko Jem West nie dający się niczem wytrącić z równowagi i odwrócić od obowiązku, dopilnował wypełnienia naznaczonej kary Holtowi, który przez niedbalstwo czy też roztargnienie, mógł się stać przyczyną ogólnego nieszczęścia. Wprawdzie kilku marynarzy z Falklandów, zdobyło się na śmiały protest przeciw surowości porucznika, uciszyli się wprawdzie niebawem, skoro tenże pogroziwszy im surowo, rozkazał zabrać się natychmiast do pracy około zwinięcia niektórych żagli. Większa bowiem ostrożność w żegludze była teraz konieczną, zważywszy możliwość istnienia w pobliżu ziemi, zdradliwych skał podwodnych.

Oczywiście za pierwszym zaraz okrzykiem straży, przybiegł na pokład kapitan, i palającym wzrokiem badał ów ląd, odległy jeszcze o jakie 10 do 12 mil. Niewielką już przestrzeń, nawet przy wolnym biegu statku, mieliśmy nadzieję przebyć w kilka godzin.

Zapuszczona sonda wykazała 120 sięgów głębokości wodnej, lecz kilka następnych pomiarów stwierdziło nadwyzczaj faliste dno morza. Z obawy więc byśmy nie najechali na jaką nagle wznoszącą się wyniosłość, sprawdzano odtąd z rozkazem Lena Guy bezustannie głębę morską.

Jakkolwiek pogoda trwała niezmiennie, lekka wszakże z razu mgła na południo-zachodzie, stawała się coraz gęstsza, tak, iż tylko od czasu do czasu w przerwach, niby w rozdartej zasłonie ukazywały się tak żywo zajmujące nas zarysy lądu, jakby dla upewnienia, iż nie przestały tam istnieć. Bo zwątpić o tem zdawało mi się rzeczą niemożliwą, teraz mianowicie, gdy, jak to zwykle bywa przy zbliżaniu się do ostatecznego celu, serca nasze opanował niewysłowiony niepokój.

Tymczasem temperatura obniżała się coraz więcej i termometr wystawiony na powietrze spadł do 0° Celsjusza, gdy woda zachowała jeszcze 3° 33 ciepła. Jaka wszakże była przyczyna tego oziębienia, trudno nam było dociec; bo samo przypuszczenie tak wczesnego nadejścia zimy, oddalałem uparcie.

Bądź co bądź przejmujący chłód wraz z zimnym i silnym wiatrem, zmusił całą załogę do przywdziania ciepłej odzieży, którą odłożyliśmy miesiąc temu, po przebyciu zapory lodowej.

Kilkakrotne doświadczenia wykazały też, iż prąd z którym płynęliśmy od Tsalal, począł zbaczać z poprzedniego kierunku.

— Nic dotychczas nie upewnia nas, czy znajduje się tam ląd większy, czy też wyspa — rzekł kapitan — jeżeliby wszakże był to ląd, wnosić wypada, iż prąd wody znajduje tam dalej ujście ku południo-wschodowi.

— Możliwe jest — odpowiedziałem — iż ta część stała antarktyku tworzy małą jakby czapeczkę, na osi ziemi, którą dokoła oblewają wody. W każdym razie należy nam nie pominąć najmniejszego faktu w notatkach okrętowych.

— Czynie to sumiennie oddawna, z tem przekonaniem, że doświadczenia nasze posłużą za dokładne wskazówki przyszłym żeglarzom w tych stronach.

— Jeśli tylko znajdą się kiedy tacy; bo rozważ kapitanie, iż na wyjątkowe warunki, jakie sprzyjały naszej wyprawie, może 20 lub 50 lat czekać będzie trzeba.

— Ja też wdzięcznem sercem dziękuję za to Opatrzności, iż nadzieja pokrzepiła na nowo upadającego już ducha. Bo jeśli morze bywa tu tak spokojne, jeśli temperatura tak łagodna, jeśli wiatr i prąd wody stale jednego trzymają się kierunku, czemużby nawet w wątych łodziach, brat mój i jego towarzysze nie mieli dosięgnąć tego tam lądu, gdzie biorąc

w rachunek nadzwyczajną tu obfitość ptactwa, ryb i zwierząt wodnych, przypuszczać należy możliwość utrzymania życia. Tak jest, panie Jeorling, serce moje przepelnia błoga nadzieja i chciałbym być już teraz o kilkanaście godzin starszym!

Z połową tylko rozpiętych żagli posuwał się Halbran cicho i powoli. Ptactwo morskie znów w wielkich pojawiło się gromadach i wieloryby ożywiły fale morskie wyrzucając fontanny wody, a Holtowi udało się złowić długi do sześciu stóp sznur, spojonych ze sobą mięczaków o świetnych! jaskrawych barwach, na podobieństwo kolorowych paciorków, sprzedawanych na targach i odpustach.

Wszystko więc wskazywało bliskość lądu, a jednak jeszcze po trzech godzinach żeglugi, nawet szkła perspektywy nie uwydatniły żadnych na nim szczegółów, nic, co by nas w czemolwiek upewniło.

Wsparty o poręcz na przodzie statku, nie spuszczałem prawie oka ze strony południowo-wschodniej, która nam tak długo ukrywała swe tajemnice, gdy naraz zagadnął mnie bosman:

— Czy pozwolisz, panie Jeorling, bym panu udzielił moich uwag.

— Słucham cię, Hurliguerly — odrzekłem — lecz wymawiam sobie z góry, iż nie przyjmę za prawdziwe wszystkiego bezwzględnie.

— Moje spostrzeżenie jest prawdziwe, bo w miarę jak się posuwamy naprzód, trzeba mieć oczy zasłonięte, by nie widzieć tego.

— Więc coś właściwie dostrzegłeś?

— Nic więcej panie nad to, żeśmy się pomylili, bo to nie ziemia żadna leży tam przed nami...

— Co ty mówisz, bosmanie!

— Niechże pan sam uważnie popatrzy, ale tak, kładąc palec przy oku w należytym kierunku, tu między temi dwoma masztami. Czy widzi pan — mówił dalej, gdy uczynił co zalecał stary marynarz — te linie nie stoją tam nieruchomo, one zmieniają swe położenie, wszakże nie w stosunku do nas, lecz co gorsza względem siebie.

— A cóż z tego wnioskujesz, bosmanie?

— Sądzę, że to są góry lodowe w ruchu...

— Góry lodowe?! — zawołałem z najwyższym zdziwieniem.

— Tak jest, i to bez najmniejszej wątpliwości.

Czy bosman rzeczywiście się nie mylił, czy czekał nas prawdziwie tak okropny zawód?... Myśli me stanęły bezładnie, zanim zdobyłem się na opanowanie silnego wzruszenia.

Niebawem jednak wszelka wątpliwość okazała się płonną i wszystkim na statku stało się jawnem, iż to nie strome brzegi lądu, ale góry lodowe przerzynały linię horyzontu; bo w dziesięć minut później straż oznajmiła przejście kilku takich lodowców w kierunku ukośnym do drogi, którą podążał Halbran.

Wiadomość ta wywołała niebyswały popłoch i zamieszanie wśród załogi. A więc nie tu jeszcze miałyby być kres tej wyprawy?... Więc jeszcze dalej, jeszcze nowe niebezpieczeństwa?... I nagle rozległ się jednoznaczny okrzyk wszystkich marynarzy:

— Nawracać, nawracać na północ!!...

I tym razem nie wpływ Hearn, nie jego buntownicze podszepty wywołały tak śmiałe zachowanie się naszych ludzi, lecz naturalny lęk, lecz instynkt samozachowawczy, wrodzony każdej żyjącej istocie, który jej każe cofać się przed czemś nieznaniem, a groźnem.

Nawet Jem West nie oburzył się na to; on czekał rozkazów kapitana, który stał błądy i zmieniony, wodząc dokoła błędnym wzrokiem.

(d. c. n.)

NOWE KSIĄŻKI.

Nowe książki dla starszych: *Nędzarze życia* p. J. Dygasińskiego. — *Drobne prace i notatki* p. E. Majewskiego. — *Powieści poetyczne* J. Słowackiego, z przedmową Piotra Chmielowskiego. — *Tułacze* Bolesławity, z przedmową Adama Pługa.

Pod tytułem *Nędzarze życia* znany pisarz pan A. Dygasiński, wydał niewielką książeczkę w której potępia słuszenie, okrutne niejednokrotnie obchodzenie się człowieka ze zwierzętami. P. Dygasiński niema nic przeciwko temu, że człowiek tępi wiele szkodników zakradających się do obory i kurnika, zwraca tylko uwagę jak obchodzić się powinien z tymi, które pozostają w jego niewoli, cytując przykłady nierozumnego i okrutnego z nimi obchodzenia, skutkiem nieznośności ich natury. Każde zwierzę godne jest tego, aby poznać jego naturę, ani jedno zaś nie zasługuje na to, aby je z nienawiścią prześladować. Czysto ludzka nawet moralność wymaga, abyśmy się na tym punkcie wzniesli wyżej aniżeli to obecnie ma miejsce.

Znany przyrodnik pan E. Majewski wydał *Drobne prace i notatki z dziedziny archeologii przedpotopowej i etnografii*. Oprócz ciekawych opisów starożytności, znalezionych przez autora i ich podobizny są tu uwagi o nazwach miejscowości czyli uroczyskach, o kulcie niedźwiedzia, o starożytnościach w ogóle, oraz wiadomości jak się obchodzić z przedmiotami wydobytych z ziemi, warte rozpowszechnienia, aby uniknąć uszkodzenia cennych częstokroć wykopalisk.

Wyszedł obecnie 1, 2 i 3-ci tom rozpoczętego taniego wydawnictwa dzieł wyborowych. Pierwszy mieści powieści poetyczne Juliusza Słowackiego, iako to: *Szafary*, *Hugo*, *Arab*, *Mnich*, *Jan Bielecki*, *Zmija* i *Lambro*, poprzedzone przedmową Piotra Chmielowskiego, objaśniającą treść całości co czyni wydawnictwo tem cenniejszem. Tomy następne zawierają z przedmową Adama Pługa powieść I. J. Kraszewskiego, pod tytułem „*Tułacze*” z serii *Obrazków współczesnych* narysowanych z natury wydanych przez autora pod pseudonimem „*Bolesławity*”, dotąd u nas szerszemu ogółowi wcale nieznanych, które czytane będą niewątpliwie z żywym zajęciem.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Antonio Canova (z ryc.) — W starożytnym Rzymie. — W wiejskiej zagrodzie przez Maryę Łopuszańską. — Pomnik hr. A. Fredry (z ryc.) — Pastuszka, wiersz (z ryc.) — Królowa Baltyku — Sfinks lodowy, Juliusza Verne'a, przekład M. P. — Nowe książki. Dodatek: Orzeł, król ptaków (z ryc.) — U cioci Polci. — W jesieni, wiersz. — Jagienka przez Z. R. — *Złoty główek* i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Poza gniazdem przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE

ORZEŁ, KRÓL PTAKÓW.

Ciocia Hela wróciła do Warszawy z dłuższego pobytu w Zakopanem, dokąd wysłali ją doktorzy. Górskie powietrze oddziało tak dobrze na jej zdrowie, iż była nową jak dawniej wesołą, i mały Kazio cieszył się ukochaną swą ciocią, nie chcąc ani na chwilę jej opuścić.

W jej też pokoju bawił się zawsze najlepiej, choć chutko i grzecznie, bo ciocia Hela miała różne książki, których prześliczne były obrazki. Dostać taką książkę do ręki i przeglądać ją kartka po kartce, było już wielką radością dla chłopca, bez porównania wszakże wolał, gdy ciocia siadła obok niego i tłumaczyła mu wszystko. Bo choć dziewięcioletni już Kazio umiał sam dobrze czytać, zawsze to jednak co innego, kiedy ciocia opowiada, a on może się zapytać, gdy czego nie rozumie.

Dziś właśnie dostała mu się duża książka ozdobiona rycinami, przedstawiającymi różne znane nam i nieznane zwierzęta.

— O ciociu kochana — zawołał po chwili — tu pod tym wielkim ptakiem podpisano: „Orzeł, król ptaków,” musi być obrazek do jakiejś ładnej bajeczki.

— Nie moje dziecko, w tej książce bajeczek nie ma, są tam tylko opisy jak wyglądają różne zwierzęta, o czym się żywią, w jakich krajach przebywają i jak tam żyją.

— A czemu orła nazwali królem? Czy on rządzi wszystkimi ptakami, jak u nas rządzili królowie, o których mi tatko opowiadał.

— Przeciwnie, orły nie tylko nie dają drugim ptakom opieki, ale go więcej napadają na nie i pożerają, są bowiem wielkie drapieżniki, które się żywią mięsem innych zwierząt.

— A to szkaradne ptaszyska. To nie królowie, to roznójnicy, prawda ciociu?

— Masz słusność mój mały, a jednak mimo przedziwności o drapieżności orła, trudno nam nie podziwiać jego wspaniałego lotu, jego dumnej postawy, w której widną jest taka siła i pewność siebie, taka wielkość i dostojność, jakby prawdziwie był jakimś potężnym władcą. Dla tego też nadali mu ludzie przydomek: króla ptaków, a wielu wojowników, dawnymi czasy, a nawet wiele narodów przyjęło orła za herb czyli godło swoje.

— A już rozumiem; to było wtenczas, kiedy nasz przodek Lech też białego orła za godło dla ludu swego przybrał. A czy cioteczka widziała kiedy żywego tego orła?

— Owszem, widziałam i to nie tak dawno. Orły bowiem trzymają się przeważnie okolic, gdzie są bardzo wysokie góry. Gdy więc byłam w Zakopanem, które jest częścią naszych pięknych Karpat, zdarzyło mi się parę razy w czasie wycieczek zobaczyć, szybującego w powie-

trzu, lub siadającego na szczycie wysokiej skały orła, karpackim zwanego, właśnie od gór, w których przebywa.

— Czy on ma też taką wspaniałą, królewską postać, czy podobał się cioci?

— Najpiękniej wygląda orzeł w locie, szybuje bowiem w powietrzu z wielką siłą, to wznosi się ponad obłoki tak, że ginie nam zupełnie z przed oczu, to znowu spuszcza się niżej, obejmując szerokie przestrzenie, a szum jego silnych skrzydeł nawet z odległych miejsc



Orzeł alpejski.

słyszeć już można. Przypatrywałam się z wielkim zajęciem; wszystkie jednak ptaki lękają się tego króla napowietrznych szlaków. Większym popłochu szukają bezpiecznego ukrycia tylko złowrogi szum skrzydeł lub głośnie jego i posłyszają.

— Jakże on zły musi mieć serce, że tak na słabszych braci napada, bo jużby inaczej wyglądał, gdyby się z równym swym mierzył i pokonał go, prawda ciociu?

— On też nie tylko dla ptaków jest postrachem,

wny swej siły rzuca się także i na dzikie kozy, sarny, lisy, zające, oraz na stada pasących się na polanach owiec.

— To on taki jest duży, że i tym zwierzętom podola?

— Jest on największym z ptaków latających a niektóre gatunki, jak właśnie „orzeł alpejski,” którego obrazek ten przedstawia, w szerokości rozpostartych swych skrzydeł, dochodzi do kilku nawet łokci, przytem nadzwyczaj silne ma nogi zakończone grubemi, ostrymi pazurami czyli szponami i takież twardy, ku dołowi zakrzywiony dziób.

— Niechno ciocia spojrz, te pazury i dziób widać doskonale na obrazku.

(d. n.)

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— To wygląda jak mały kapelusz z zaciśniętymi brzegami — rzekł Henryś.

— Czy to jest to co nazywają stosowanym kapeluszem? — spytała Zosia.

— Niezupełnie — odrzekła ciocia — ja wam potem pokażę jak się robi stosowany kapelusz, a teraz skończmy głowę naszej lalki.

— Bardzo dobrze — rzekła Zosia — co teraz zrobić z tym kapelusikiem?

— Trzeba brzeg zagiąć — odparła ciocia — i wsunąć jeden koniec w jedną torebkę kapelusza, a obrócić go na drugą stronę, wsunąć znów drugi koniec w drugą torebkę.

A teraz trzeba przymocować kapelusz do kaftanika — zawołała Zosia.

Nie zapominajcie o kołnierzyku papierowym — Polcia, ucinając wąski skrawek papieru.

— Został przytwierdzony naokoło kaftanika — lalka była gotowa.

— Była i malutka Irenka była nią wielce ura-

— Znajdujesz, że ta lalka jest ładna Kaziu?

— Lalka która mi się podoba — odrzekł

— Papierowe zabawki — powiedziała — bardzo zręczna.

— Jesteście zmęczeni? — spytała ciocia Polcia — Jeśli nie, tobym wam pokazała jak się robi krzesła z papieru.

— Aż nam ciociu! prosimy — zawołały razem Zosia i Henryś. Irenka tylko nic nie mówiła, była zajęta i nie zwrócić uwagi na co innego.

— Odrzekła ciocia — niech więc każde z was zrobi długie kaftaniki.

— A ja — powiedziała, że nas nauczy robić krzesła — Zosia.

— I — dodał Henryś z miłą zawiedzioną.

— Odrzekła ciocia — jak zrobicie

trzy długie kaftaniki, pokażę wam jak je zamienić na trzy krzesła.

Zamienić kaftaniki na krzesła! — wykrzyknęli Kaziu i Henryś.

— Ciocia Polcia jest prawdziwą wróżką — rzekła Zosia.

Dzieci zabrały się tak dzielnie do roboty, że w pół godziny z małą pomocą cioci Polci, trzy długie kaftaniki leżały na stole.

— Czy pamiętacie — rzekła ciocia — żeśmy nazwały cztery długie torebki a, b, c, d. (fig. 8). Żeby zrobić rękawy u kaftanika, rozłożyliście duże torebki b i c. (fig. 11). A żeby zamienić kaftanik u krzesło, musicie rozłożyć długą torebkę d w ten sam sposób.

(d. c. n.)

W JESIENI.

Już na łąkach chłodna rosa,
Niwy puste, żal się Boże,
Pościła ostra kosa,
Z łąk kobierce i z pól zboże!

Odleciały het, bociany
Z mokrej łąki ponad strugą,
Pożegnały smutne łany,
Nie na długo! nie na długo!

Czas przy pracy szybko leci,
Znów powrócą ptaszki zgraje,
Słońko żywiej znów zaświeci,
I ożyją łąki, gaje!

JAGIENKA

PRZEZ Z. R.

(Ciąg dalszy).

— Otóż, przed dwoma dniami, znówu takie samo poselstwo przybyło do księdza przeora. On, po naradzie z drugimi Ojcami i rycerstwem, dał odpowiedź odmowną. Klasztoru nie podda! Szwedzcy posłowie, wręczywszy swoje pismo, natychmiast odeszli, i ksiądz Kordecki był zmuszony odpowiedź swoją przesłać przez swoich posłów. Wyprawił z nią Ojca Bleszyńskiego i Ojca Małachowskiego *). Müller, złamał to święte prawo wojenne, o którym wam dopiero co mówiłem, uwięził posłów, i przysłał list do księdza przeora, w którym grozi, że jeżeli natychmiast klasztoru nie podda, obu Ojców powiesić każe! Jagienka aż krzyknęła z przerażenia, oczy ręką przysłoniła, jakby się obawiała zobaczyć ten straszny obraz!

— A to szkaradny ten Müller! nie ma „honoru rycerskiego” — zawołał Juraś.

— Jakże wiadomość ta nie miała nas okryć smut-

*) Historyczne.

kiem, rzucić żałoby na cały klasztor! Podać go, takiemu Müllerowi, nie można... Gdy śmie posłów więzić, to już widać jak żadnego słowa, żadnej obietnicy nie dotrzyma... a czyż ojcowie niewinni mają ponieść śmierć haniebną? Sami, wprawdzie proszą o nią... mieliśmy dziś wiadomość od nich, przyniosła ją żebraczka Konstancja, ta, która was tu przyprowadziła. Podeszła pod szepę, w której są uwięzieni, rozmawiała z nimi: prosili, by bez względu na nich bronić się do ostatka, a ich zostawić na śmierć męczeńską, dla chwały Najświętszej Panny!

— Ale nie powieszają ich — z trwogą zawołała Jagienka — Najświętsza Panna nie dopuści do tego.

— Wczoraj i dziś odprawiały się nabożeństwa na tę intencję — rzekł pan Piotr — ale może Matka Boska zechce przysporzyć Synowi swemu dwóch aniołów na Jego chwałę.

Jagienka szła przez dziedziniec forteczny bardzo zasmucona, Juraś patrzył jej w oczy i smucił się także. Gdy zbliżyli się do klasztoru i kościoła, wzięła go za rękę i rzekła przyciszonym głosem, bo czegoś głośno mówić nie mogła.

— Chodźmy do kościoła, modlić się za nich... Weszli. Na dworze szarzało już, w kaplicy był mrok zupełny: od ołtarza tylko jasność mroki rozsuwała, na schodach klęczała biała postać, ze wzniesionymi w górę rękoma... w zachwyceniu? czy prośbie gorącej? Światła na ołtarzu nie było, dwie tylko świece rzucały drżące blaski na ciemne oblicze Matki Bożej. Dzieci przycisnęły się do ściany i modląc się, oczu nie spuszczały z klęczącej, nieruchomej postaci. Wtem dał się słyszeć strzał, zbudził z modłów klęczącego, drgnął i powstał. Zwrócił się do wyjścia, spostrzegł dzieci, przystąpił do nich.

— Co wy tu robicie o tej porze?

— Modlimy się — odpowiedziała Jagienka, tak cicho, że ledwie mógł dosłyszeć.

— Tak dzieci moje — odrzekł ksiądz Kordecki — módlcie się, żeby Szwed nie pohańbił tego świętego miejsca.

— My teraz modlimy się — rzekł Juraś — za posłów którzy są w obozie szwedzkim, bo powiedział nam pan Czarnecki, że chce ich tam pozabijać Müller, ten Szwed najbrzydszy, najszkaradniejszy ze wszystkich Szwedów!

— Módlcie się! — rozrzewnionym głosem powiedział ksiądz przeor i cicho wysunął się z kościoła.

Nazajutrz wielka była radość w klasztorze i całej fortecy! ojcowie, Bleszyński i Małachowski, powrócili cali i zdrowi na Jasną Górę! Nie śmiał Müller targnąć się na sługi Maryi! nie śmiał, bo wiedział, że nawet ci Polacy, którzy należąc do party trzymającej przeciw królowi, ze Szwedem, byli z nim pod Częstochową, choć króla własnego odstąpili, byliby bunt podnieśli, gdyby się był targnął na sługi Najświętszej Panny. Ci nieszczęśliwi, co się przez zaślepienie dali przeciągnąć na stronę wroga, teraz już, widząc zachowanie się Szwedów, byli strasznie ukarani za swoje odstępstwo: zmuszono ich iść pod Częstochowę, ale do szturm na Jasną Górę zapędzić się nie dali, tylko trzymając się ponurą na uboczu, patrzyli na próżne wysiłki Szwedów. Müller wiedział dobrze, że każda porażka jego, każdy szturm niefortunny, zadowoleniem odbija się w ich sercach.

Choć utracili wierność dla króla, ale wiary nie zatarcili.

Oblężenie przeciągało się. Müller począł się coraz bardziej niepokoić, tą niezrozumiałą dla niego siłą, która broniła Częstochowy. Co dni kilka słał posłów do Ojców Paulinów, by kapitulowali, to jest poddali się. Raz groził potęgą Karola Gustawa, to znowu, po raz niewiedzieć który, łudził obietnicami uszanowania świętego miejsca. Księża przeora groźby nie zastraszały, obietnice nie zdołały złudzić. Na wszystkie obiecanki powtarzał sobie: „Słowo, iż Jasną Górę zostawię w spokoju, złamali — jakżeż im teraz wierzyć? a wydać na pohańbienie świątynię Maryi, niepodobna.”

Ale byli tacy, między ojcami i rycerstwem, którzy nareszcie znużyli się już trudami oblężenia, bo tygodnie już całe czuwali na wałach dzień i noc, w wichry, śloty i mróz, gdyż i zima już się była na dobre zaczęła. Nie mieli przytem przekonania aby ostatecznie możliwem było oprzeć się całej potędze szwedzkiej — więc w mniemaniu, że, czy prędzej czy później, Szwedzi klasztor zdobędą, radzili uwierzyć obietnicom Müllera, bramy otworzyć wojskom szwedzkim. Ksiądz Kordecki zbierał wtedy księży, rycerzy i szlachtę znacznieszą i radził z nimi o losach klasztoru, sam stojąc jednak zawsze niewzruszenie przy obronie.

Właśnie była zebrana taka rada w refektarzu, i ksiądz Kordecki starał się podnieść upadającą odwagę niektórych, wykazując widoczną do tej chwili opiekę Najświętszej Panny nad Częstochową.

— Tyle tygodni, z garstką rycerzy, broni się twierdza Jasnogórska przeciw takiej potędze szwedzkiej. Te wojska, których końca nie sięga oko, te armaty, grzmiące niemal co dnia od świtu do zmroku, te kule ogniste, niosące śmierć i zniszczenie, jakąż szkodę uczyniły dotąd klasztorowi i twierdzy? Twierdza niewzruszona, klasztor i kościół stoi w swojej chwale i potędze cudownej, jak stał od wieków! I krwi stosunkowo wylało się niewiele, a ci, którzy ją dali w służbie Najświętszej Panny, szczęśliwi, cieszą się już z Nią w niebie. Nie bądźmy mało duszni! wiary, wiary żywszej moi bracia! a Ta Najświętsza, jeszcze bardziej widocznie osłoni nas płaszczem swej opieki!

Ksiądz Kordecki mógł śmiało mówić z zapaleniem o śmierci za chwałę Bożą! nikt zarzucić mu nie mógł, że wytrwałością w oporze narażając drugich na śmierć, sam jej unika, widzieli bowiem wszyscy, że w czasie największego szturm, on z krzyżem w rękę, obchodził wały, błogosławił walczących, a już gdzie kule szwedzkie najgęściej padały, tam był zawsze, wznosząc krzyż ponad głowy rycerzy, jakby nim bronił i osłaniał przed pociskami śmiertelnymi. Rycerstwu na ten widok przybywało siły, odwagi i wiary w zwycięstwo! I postać ta biała, ze wzniesionymi w górą rękoma i krzyżem, wydawała się im aniołem zstępującym z nieba w ich obronie.

To też i teraz, gdy byli zebrani na radzie, nawet w najbardziej zwątpiałyach wstępowała otucha, gdy słuchali natchnionych słów księdz przeora.

Nagle, drzwi od refektarza otwarły się z trzaskiem i Jagienka z Juraszem wbiegli zdyszani, z rumieńcami na

twarzach, z jasnymi błyskami w oczach, wołając już od progu:

— Cud! cud! Matka Boska się objawiła! Objawiła na prawdę, w obłokach nad klasztorem!... Błękitnym płaszczem osłoniła klasztor, kościół, fortecę, naszych żołnierzy, całą Jasną Górę!... Wszyscy to widzieli, wszyscy! cały obóz szwedzki! a kule tak się odbijają od tego Jej płaszcza, choć przezroczystego jak mgła, jakby od jakiej skały! i wszystkie wracają do obozu szwedzkiego! *)

W mrocznym refektarzu głosik dziecięcy dzwonił donośnie, rozlegając się wśród zupełnej ciszy, bo wrażenie pierwszych słów podobnej wieści, usłyszanych w takiej chwili, tak wszystkich nagle chwyciło i przejęło, że z zapartym oddechem stali kapłani i rycerze, nie śmiąc poruszeniem jednym przerwać skupienia ducha.

A Jagienka, zarumieniona i drżąca ze wzruszenia, opowiadała dalej, wspomagana przez Jurasia.

— Jedna kula wpadła aż w namiot Müllera, właśnie gdy siedział przy obiedzie, wszystko porozbijając, stół przewróciła, a on tak się przestraszył, że aż pobladł, jak ściana. Widzieli to ci nasi, co to dotąd stali przy Szwedach, i oni wszystko widzieli własnymi oczyma, i Matkę Boską i płaszcz jej niebieski i przestraszyli się tak, że za nic nie chcą już służyć Szwedom, a nawet być w ich obozie! Przybiegli tu wszyscy pod bramę i tak prosili, błagali, żeby ich wpuścić, bo chcą się wypowiadać i poprawić, że pan Czarnecki kazał ich wpuścić. Oni sami opowiadali mu to wszystko, bo widzieli na własne oczy, i całe wojsko Müllera widziało Najświętszą Pannę, osłaniającą całą Jasną Górę i nas wszystkich płaszczem swoim! A teraz ci żołnierze klęczą tam na wałach, wznosząc ręce do góry, modlą się i przysięgają, że nikomu już służyć nie będą, tylko tej cudownej Matce Boskiej. A pan Czarnecki powtarza raz po raz: „Cud, cud — prawdziwy cud!”

Jagienka umilkła, zmęczona i wzruszona opowiadaniem, a wśród zebranych to słowo *cud*, zaczęło przelatywać z ust do ust.

Ksiądz Kordecki stał jak w zachwyceniu, wznosiłszy oczy w górę, jakby w tej chwili oglądał cudowne zjawisko — usta poruszały się bez dźwięku, w wewnętrznej modlitwie.

(d. n.)

*) Historyczne.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Ułożyła Reginka K.

Kad. blażn. rd carb. w czem p.m.c. czk.
Spłsz z p.m.c. s.re.m praw.g. czł.w.w.k.
W t.b. z s.n. ch s.t.k. s.l.hart wzb.dz.
Błs jak najmn. j p.m.c. w.m.g. d l.dz.
Zastąpić kropki samogłoskami.

SZARADA.

Pierwsze to samogłoska co właściwym szykiem,
Raz jest w mowie przyimkiem, drugi wykrzyknikiem.
A kiedy się zaś z *drugim* w jedną całość złoży,
To żeński wskazujący zaimek utworzy.
Drugie z trzecim skoro wezmą górę,
Zakał duszy mu niosą i paczą naturę.
Pierwsze z trzecim w poezyi górny polot miewa,
Bo zwykle najwznioślejsze przedmioty opiewa.
Wszystkie wraz bardzo różne w kształtach i kolorze,
W niezliczonej ilości żyją w letniej porze,
Bywają zaś dla ludzi przez własności sprzeczne,
To bardzo dokuczliwe, to znów pożyteczne.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Ułożyła czarna Mrówka.

S. a m i b o r
s y r y a
d e s k o g
s a r s u k
d e k u s z
h a m a c s

Zapełnić kropki literami i wy-
naleść wyrazy, aby w oznaczo-
nem miejscu znajdowała się li-
tera s. 1) Miasto w Galicyi. 2)
W starożytn. potężne królestwo
w Azji. 3) Miasto w Rosyi. 4)
Zwierzę drapieżne żyjące w pod-
ziemnych norach. 5) Miasto w Polsce *stynne niegdyś*
z kopalni ołowiu. 6) Imię 14 faraonów egipskich.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 44-go

Szarady: Me — ry — no — sy.

Łamigłówni w kwadracie:

M i c h a ł
M a d r y t
M a r m u r
K o r z e ń
W i e d e ń
K o r z e c

Łamigłówni kryształowej:

J
t u r
d u k a t
J u k a t a n
t a t a r
b a r
n